ROZMAITOŚCI.

Dnia 3 lipca, Ner 27. roku 1847.

PANNA POSTĘPOWA.

OPOWIADANIE

PRZEZ

JÓZEFA KORZENIOWSKIEGO.

(Dokończenie.)

Tymczasem w sąsiedztwie rozeszła się pogłoska o tém zdarzeniu, i przechodząc z języka na język, urosła w najpotworniejszą banialukę. Jeden z młodych utrzymywał, że p. B* przyjechał z Prus i że to jest ksiądz nowego kościoła; że reputacyja p Salomei jako filozofki, przyjaciołki światła i panny postępowéj doszła i tam, i że dla tego właśnie chciał ją pociągnąć do téj misyi, aby jako kobiéta piękna i mowna, była organem nowych wyobrażeń w naszéj okolicy. Upewniał słowem honoru, że wié o tém z pewnością; wątpiących zaś o powołaniu nowo-sacerdotalném p. Władysława B* przekonywał tém, że p. B* przyjechał karémi końmi, w czarnéj uprzęży, w takimże koczu: że na kapeluszu człowieka była takaż taśma z czarną cyfrą, i że sam był czarno ubrany i miał czarne włosy. W innym znowu domu, młody jakiś panicz, z zaczesaną na tył czupryną, szeptał zebranym w kółko sąsiadom, o innym wcale posłanictwie p. Władysława; twierdził on, że p. B* zupełnie nie tak się nazywa jak w paszporcie napisano; że on, narrator, wraca także z zagranicy i wié o tém wszystkiém doskonale. Rozpędziwszy się w sekretném zwierzaniu się swojém, dodał, że p. B* témi saméni karémi końmi powrócił niedawno z Nowego Jorku, dokąd miał tajemną misyją. Gdy obecni parsknęli od śmiéchu, zapyrzony młodzieniec upewniał słowem honoru, że widział to na własne oczy w Marsylii, jak p. B* z okrętu na brzeg wysiadłszy, tymże samym powozem, który tam już na niego czekał, pojechał daléj. Panny w okolicy nie mogły się uspokoić, i kazały sobie opowiadać o cudownie pięknym młodzieńcu, który tak nadzwyczajném zdarzeniem zjawił się w domu majora, i z p. Salomeą pewnie się ożeni. Rozpytywały najtroskliwiéj czy on hrabia czy nie, a romantyczne jego zemdlenie i zniknienia ludzi tłumaczyły sobie każda po swojemu. Ta utrzymywała, że wpadł tak raptem na dziedziniec aby zafrasować; tamta mówiła, że schował ludzi aby zaintrygować, inna znowu twierdziła, że rozbił sobie umyślnie głowę o schody kaplicy, aby się stać bardziéj interesującym, aby go p. Salomea pilnowała i pielęgnując chorego, zakochała się w zdrowym. Starsi znowuż sąsiedzi nie mogli pojąć tak nagłego zniknienia owych prześlicznych koni. Ten dowodził, że to niepodobna, aby złodziéj wkradł się do tak porządnego i militarnie trzymanego domu; drugi rzucił uwagę, że złodziéj musiał miéć kocie oczy, kiedy pociemku właśnie najpiękniejszą parę wyprowadził; inny znowu napomknął, jak to musi niezmiernie boléć majora, który jest takim znawcą i amatorem; inny nareszcie zakonkludował, że się konie pewnie znajdą, jak skoro p. B* wyjedzie; potém niby od niechcenia zaczął mówić o pięknéj i ustronnéj pasiece majora, do któréj przystęp wszystkim obcym jest zaboroniony, a na ustach słuchających pokazał się domyślny uśmiéch, pełen miłości bliźniego i przychylności sąsiedzkiéj. Słowem, cała okolica była w ruchu i wszystkie języki w robocie. Przejeżdżano się z jednego domu do drugiego, a wszędzie rozmowa toczyła się tylko o majorze, o p. Salomei, o czarnéj cyfrze na czarnéj taśmie, o karych koniach, o zaręczynach i rychłym ślubie: od ślubu przyszło naturalną koleją do balu, a od balu jeszcze naturalniejszą do wypisywania materyj na nowe suknie i do składek na jeneralny transport z Warszawy trzewików i białych rękawiczek. Wszakże to silne zajęcie nie przeszkadzało zwyczajnym odwidzinom w domu majora; dokąd, oprócz znanéj gościnności, obfitego uczęstowania, wdzięków p. Salomei, ściągała jeszcze sąsiedztwo ciekawość, chęć poznania interesującego młodzieńca, a może tajemna nadzieja krążąca w głowie nie jednéj matki, i szepcząca cicho w serduszku nie jednéj panienki, czy też nie uda się odciągnąć go od kochanéj sąsiadki — do siebie.

Gdy p. Władysław wyzdrowiał i wychodzić za-

czął, podziękował z wyrazem pełnym powagi za przytułek, który mu dali i za starania których doznał Na wymówki, na użalania się gospodarza domu, że stracił tak piękne konie, odpowiedział obojętnym uśmiéchem, i prosił na wszystko majora, aby o tém nie myślał wcale.

Ułożenie jego było pełne godności i dobrego tonu. Ubiór zawsze czarny, ale nadzwyczajnie staranny; głos wdzięczny, rozmowa łatwa ale seryjo, wyraz téj bladéj twarzy pełen surowéj melancholii. Nie widać w niéj było miękkiéj tkliwości, ale przebijał się jakiś skoncentrowany i głęboki smutek. Czasem tylko, gdy oczy jego zbiegły się z oczami p. Salomei, błysnął w nich nagły, niepojęty, przenikający ogień, który przeszywał ją boleśnie jak iskra elektryczna, a ciągnął ku sobie jak magnes. Panna Salomea zrobiła się dziwnie skromna, milcząca i zamyślona. Bała się rozpocząć z nim ulubionych dawniéj dysput; nie śmiała złożyć swych ślicznych ustek do owego ironicznego uśmiéchu, który był im zwyczajnym, a przecież nie mogła się oprzéć niepojętemu pociągowi, który ją porywał ku niemu gwałtownie, boleśnie. Bała się go, drzała jak listek na tę myśl, że jéj przyjdzie kiedyś oprzéć się na téj ręce, oddać jego objęciu, puścić się w świat széroki z człowiekiem nieznajomym, dziwnym, niepojętym. A przecież czuła, że inaczéj być nie może, że będzie posłuszną jego skinieniu, że pójdzie gdy każe, że z zamiérającą duszą uchwyci się jego szyi i rzuci się z nim choćby w tę przepaść, którą w śnie pierwszej nocy widziała. Kochała go biédna nadzwyczajnie; ale nie byłato owa święta, spokojna tkliwość, owe wylanie myśli szczére i ze dna duszy; owo bezpieczeństwo zobopólne kochającéj się po bożemu pary, wierzącéj w siebie i w przyszłość, pewnéj ze Bóg łączy ich ręce, że nad ich zbliżonémi do siebie głowami skrzydła aniołów jego czuwają. Jéj przywiązanie było silnym, boleśnym, nieprzezwyciężonym pociągiem, niepodsycanym z jego strony żadnémi zabiegami, nie karmionėm żadném staraniem. P. Salomea czuła się niezmiernie szczęśliwą: drzała gdy do niéj mówił, bladła gdy się do niéj zbliżał; ale gdy na nią spojrzał; gdy postrzegła w jego oczach ten blask niepojęty, szła ku niemu sama, tuliła się w myśli na jego łonie, i gdyby był tego zażądał, w obliczu rodziców, w obec stu świadków byłaby się rzuciła w jego objęcia.

Tak gwałtownéj namiętności nie mogli nie postrzedz rodzice, nie mogli nie widziéć odwidzający dom ich goście. Państwo S* nie mieli wprawdzie nic do zarzucenia p. Władysławowi; tak poważném, tak pełném godności było jego postępowanie, tak ujmujące, tak światłe jego rozmowy. Unikał on widocznie zejścia się sam na sam z ich córką, żadnych jéj nigdy nie prawił grzeczności, a przecież w sercach tych prostodusznych i religijnych ludzi tkwił jakiś nieprzezwyciężony wstręt do człowieka, którego całe zjawienie się było tak tajemniczém, tak nadzwyczajném, którego bytu i jestestwa nikt sobie dobrze wytłumaczyć nie mógł. Wszyscy jednak łamali sobie nad tém głowy. Ta tylko, co dawniéj każdą rzecz rozbiérała, i szukała zasady: czemu drzy serce przy majestatycznym zachodzie słońca, czemu dziecko wyciąga rączki z kolébki przy zbliżaniu się matki, ta tylko nie rezenowała wcale, nie dochodziła zkąd on, dokąd idzie, ale ślepo bez żadnego zastanowienia, posłuszną była jego skinieniu; jak okruszyna żelaza lgnie do magnesu, tak ona lgnęła do jego twarzy, i całą duszą, całą swą istotą powodowała się jego magicznemu wejrzeniu.

— Saluniu droga, ty się gubisz, rzekła raz matka.

— Dlaczego moja mamo! jam szczęśliwa.

— Ale patrz, jaki on dla ciebie zimny, jaki obojętny, dodała matka

— To nic, mamo, tém więcéj go kocham.

— Ale on ciebie nie kocha wcale.

— Mniejsza o to, ja powinnam mu być posłuszną, odpowiedziała córka drząc i blednąc.

— Czegoż tak drzysz i bledniesz moje dziecię; ty się go boisz.

— Boję się go mamo bardzo

— To ja mu powiém, żeby sobie jechał.

— Nie mów droga matko, bo ja umrę, dodała p. Salomea tuląc się na łonie matki.

— O! nieszczęście jakieś dotknęło nas, zawołała pani S*, ściskając córkę i mocno płacząc.

Tak przeszło parę tygodni do zupełnego wyzdrowienia p. Władysława, który żadném słowem nie zdradził swojéj tajemnicy, nigdy się nie wymówił dokąd jechał, po co tu przybył, gdzie się daléj uda. Chociaż widział jaką ma władzę nad sercem panny Salomei, ani rodzicom nie wyjawił swoich względem niéj zamiarów, ani jéj, biédnéj, żadném słówkiem nie odkrył swoich uczuć. Czasem tylko wlepił w nią na chwilę wzrok przenikający, i wówczas wszelka wola słabła w tém sercu, niegdyś tak energiczném.— W życiu p. Władysława nie było nic szczególnego. Rano pracował, potém przychodził na śniadanie, rozmawiał z ojcem, z matką, rzadziéj z p. Salomeą; dał jéj czasem jaką angielską książeczkę, bo ten język bardzo lubił; objaśnił czego nie rozumiała, bo nie bardzo jeszcze była w nim biegłą.

W wieczór tylko gdzieś znikał na samotnéj przechadzce, i to zastanawiało wszystkich, dawało powód do rozmaitych domysłów, i przypominało owe nadnaturalne zniknienie ludzi i koni.

Szczególniéj ta okoliczność uderzała każdego i majora i w okolicy, po któréj się to już rozeszło,

że chociaż wiedziano, iż go w domu niema, nikt go nigdzie i nigdy w tych samotnych przechadzkach nie spotkał.

W tym właśnie czasie p. Władysław, który już wyzdrowiał zupełnie, i którego kocz był wyreperowany, wspomniał coś o wyjeździe. Państwo S* nie mówili ani słowa; radzi że spadnie z ich serca ten ciężar, który jak kamień ich przygniatał. Ale p. Salomea na samą wzmiankę jego wyjazdu czuła się blizką rozpaczy. Blada, ze ściśnioném sercem chodziła wpół żywa. Nie śmiała sama zacząć z nim rozmowy; a on żadném słowem nie pocieszył jéj, nie zachęcił do otwartego wylania się; nic ani o żalu swoim że ją opuszcza nie powiedział, nic o powrocie nie wspomniał. Miał wyjechać w nocy 19 czerwca w sam dzień imienin pani S*, na który dużo z okolicy zjechało się gości.

Po dość poźnym obiedzie, gdy wszyscy zebrani byli w ogrodzie, całe niebo zaciągnęło się nagle chmurami, dalekie odezwały się grzmoty, deszcz zaczął padać i burza nadchodziła Schronili się więc goście do pokoju, pozamykano okna, i cała kompanija usadowiwszy się w różnych grupach, bawiła się rozmową. Tymczasem chmury coraz gęstsze zakrywały horyzont; nasuwały się jedna na drugą, mieniąc straszne swe oblicze i przybierając groźne kolory. Huk jakiś głuchy rozlegał się zdaleka kiedyniekiedy błyskawica przeszywała ciemne i wzburzone obłoki. Gdy rozmowa prawie ustała pod wpływem téj mimowolnéj trwogi, jakiéj doznaje słaba ziemska istota patrząc na zagniewane niebo, dał się słyszeć tentent na dziedzińcu i wpadł konno jeden z młodych sąsiadów majora, uciekający widać szybko przed nadchodzącą burzą. Gdy wszedł do pokoju i spojrzał na p. Władysława, stanął jak wryty i na twarzy jego wyraził się jakiś przestrach i zadziwienie.

— Czy pan mię pierwszy raz widzisz? zapytał zimno p. Władysław, żeś tak się zadziwił.

— Dziwi mię to, odpowiedział młodzieniec, że pana tu widzę. Przed kwadransem widziałem pana o pół mili ztąd, pędzącego przez pole, na karym koniu, w stronę zupełnie przeciwną temu domowi. — Wszyscy przytomni spojrzeli po sobie; jedni się usmiéchnęli z niedowiarstwem, inni dziwną przejęci trwogą, odsunęli się z krzesłami, a pani S* uchwyciła za rękę p. Salomeę i trzymała ją przy sobie.

Rzeczywiście, przed kwadransem p. Władysław oddalił się był z kompanii do swego pokoju, zkąd przyniósł angielskie album z portretami najpiękniejszych kobiet Anglii. Obecne damy żądały to widzieć; gdyż jedne spodziewały się tam znaleźć jakieś podobieństwo do siebie, inne bały się czy nie ma jakiego podobieństwa do sąsiadek. Nieobecność ta jednak p. Władysława nie trwała więcéj jak dziesięć minut.

— Przywidziało ci się kochany Auguście, rzekł gospodarz, pan Władysław nie wychodził dziś nigdzie.

— Musiałeś jakiego Żyda galopującego widziéć zdaleka, rzekł jeden młody człowiek

— Niekoniecznie potrzebnym tu był Żyd, odpowiedział z powagą pan Władysław. Są w naturze rzeczy nadzwyczajne, które zwykle w stanie wzburzonéj atmosfery objawiają się ludziom. Bo nie jestto próżny i teatralny wymysł, że wszystkim widzeniom nadprzyrodzonym towarzyszy grzmot i błyskawica. Porządek zwykły, codzienny, naturalny, zmienia się tylko dla przestrogi śmiertelnych, zbyt zaufanych we własne siły i zapominających, że ziemia tajemnémi nićmi powiązana jest ze światem zazmysłowym i zarozumowym Przestróg tych udziela natura niechętnie, z musu, a zatém z gniewem i groźbą; a najwidoczniejszym dla ludzi wyrazem jéj gniewu jest burza, przed którą najzuchwalszy śmiałek na twarz upada. Dla tego nie mam panu za złe, żeś się strwożył i zadziwił. Twierdzę tylko to, żem był w domu i nigdzie się nie oddalał; ale niezaprzeczam bynajmniéj, żeś pan mnie widział. To być bardzo może

Te słowa wymówione z mocą, jak iskra elektryczna rozbiegły się po obecnych, i nie jedna twarz pobladła. P. Salomea zadrżała w głębi duszy, nie śmiała się odezwać, nie śmiała na niego oczu podnieść. Wszystkie jéj dawniejsze argumenta, jak broń pordzewiała i połamana, leżały bez użytku. Wszakże niektórzy z młodych, nie pokonani tak jak nasza ex-filozofka, ze zwykłą nam chęcią argumentowania na wiatr, wszczęli o tym przedmiocie dysputę. Znaleźli się przeciwnicy, zwłaszcza między starszymi, co ich zbijali faktami. Taką drogą od sporów przeszła rozmowa do opowiadań wypadków nadzwyczajnych, w które niby to nie wierzymy dla mody, z których uśmiéchamy się dla pokazania rozumu, a które w głębi duszy znajdują interes i jakieś niewytłumaczone i niepojęte echo.

— Gadajcie sobie panowie młodzi co chcecie, rzekł gospodarz, przyjaciel wszelkich dykteryjek, ale w tém nikt mnie nie przekona, żem wtenczas spał, gdy mi się zdarzyło, co powiém. W r. 1809 pułk nasz został w Hiszpanii; tylko szwadron jeden odkomenderowano do Niemiec. W tym szwadronie byłem i ja. Wychodziłem bardzo smutny. Nie żal mi było hiszpańskiego nieba i czarnych oczów Hiszpanek, bo niebo nas piekło, a czarne oczy patrzyły nie z miłością, ale z groźbą. Lecz żal mi było przyjaciela jedynego, serdecznego, który zostawał w drugim szwadronie Byłto człowiek śmiały i dobry, ale zawsze smutny, jakby coś złego przeczuwał. Ten jego stan tém bardziéj mnie trwożył,

że to nie był religijant, nie zupełnie wierzył w miłosierdzie boże, i nie szukał pociechy w modlitwie Gdyśmy przyszli do Niemiec, rozlokowano nasz oddział niedaleko od Erfurtu, a mój szwadron i mnie w maleńkiéj wiosce, gdzie był zamek niezamieszkały, chociaż jeszcze w dobrym stanie i z całkowitém staroświeckiém umeblowaniem. Miałem trzy ogromne pokoje z marmurową posadzką, z wysokiémi krzesłami, ze stołami pokrytémi marmurem. W kolosalnych kominach marmurowych szumiał wiatr, a portrety na ścianach zdały się wytrzeszczać na mnie wielkie i jaskrawe oczy. Mój wiarus układł się sobie w piérwszym pokoju w najulubieńszym kącie, podłożył ładownicę pod głowę, obwinął się płaszczem, i zaczął w najlepsze chrapać; ja zaś, zamknąłem wchodowe drzwi na klucz, przymknąłem dwoje drzwi za sobą, i udałem się aż do trzeciego pokoju, gdzie stało wielkie łoże. Położyłem się także, postawiwszy świécę na stole i pod ręką mając pałasz i pistolety. Ale gdzie tam! sen ani brał się do moich powiek. Oprócz przypomnień różnych powieści o opuszczonych zamkach, o których kiedykolwiek słyszałem, przeszkadzało mi jeszcze chrapanie mojego wiarusa, rozlegające się najdziwniejszém echem po pustych pokojach i łączące się w jakąś dziwaczną oktawę ze świstem wiatru, który grał sobie w kominach. Na takiéj męczącéj bezsenności przeszło mi godzin więcéj niż dwie. Już noc była głęboka, gdy nagle zdało mi się, że słyszę stuk zamku we drzwiach wchodowych. Usiadłem na łożu, i chwyciłem pistolet, odwiódłszy oba kurki Po chwili, usłyszałem wyraźnie w piérwszym pokoju chód ciężki i silny, dzwonienie ostróg i brzęk sunącego się po posadzce pałasza. Porwałem się z łóżka, i po chwili namysłu, wniosłem, że to zapewne mój ułan musi sobie wędrować pociemku. Dla przekonania się zbliżyłem się do drzwi średniego pokoju, i usłyszałem harmoniją jego nosową, rozlegającą się zawzięcie i dochodzącą najwyższych tonów. Wówczas dreszcz mimowolny przejął mię. Chód i brzęk już był w średnim pokoju, i widocznie ktoś inny się przybliżał. Nie było czego czekać Otwarłem raptem drzwi, gotów do odparcia napastnika. Ale jakież było moje podziwienie, gdym obaczył na środku pokoju — mojego przyjaciela. Twarz jego była blada, ale spokojna, i uśmiéch na ustach. Widziałem go tak wyraźnie, jak widzę panów. Zapomniałem się na chwilę, rzuciłem pistolet, i z wyciągnionémi rękami chciałem biedz ku niemu. On mi dał znak abym się zatrzymał. Stanąłem jak wryty, i zimno niepojęte zatrzymało bieg krwi w moich żyłach. Mój przyjaciel położywszy rękę na sercu podniósł ją w górę, jakby ukazując niebo, potém przeżegnał mnie zdaleka, odwrócił się i poszedł. Nie słyszałem już jego kroków gdy odchodził, ani brzęku szabli po posadzce, ani stuku zamku we drzwiach wchodowych. Gdym się opamiętał, weszedłem do piérwszego pokoju; drzwi były na klucz zamknięte, jakem je zostawił, mój wiarus chrapał, a wiatr świstał w kominie. Wróciłem nazad: zastałem swój pistolet na ziemi. Podjąłem go smutny i zamyślony, i klęknąwszy przy łożu, długo, długo modliłem się gorąco. We trzy miesiące odebrałem list z Hiszpanii od innego kolegi, do któregom zaraz nazajutrz pisał, że mój biedny przyjaciel téjże saméj nocy, w jakiejś zasadzce okrutnie zamordowanym został.

— Ale wtenczas, gdyś pan miał to widzenie, nie grzmiało wcale, odezwała się z przekąsem do pana B* jedna z młodych inteligencyj.

— Teraz grzmi, rzekł surowo pan Władysław, spojrzawszy dziwnie na młodzieńca.

Jakoż huk głuchy rozlegał się po powietrzu, i grzmot silny, przeciągły, przeraźliwy zdawał się zbliżać ku domowi i nad samym jego dachem przesuwać. Młodzieniec spuścił oczy w ziemię, wszyscy przytomni zsunęli się bliżéj, panienki chwyciły jedna drugą za rękę, a pani S* objęła tulącą się do siebie p. Salomeę, jakby ją chciała macierzyńskiém skrzydłem przed blizkiém nieszczęściem osłonić.

Pomimo wrażenia, jakie opowiadanie to majora sprawiło, zwłaszcza przy towarzyszących mu okolicznościach, powab tego rodzaju legend jest tak wielki, że jedna zwykle wywołuje drugą. Gdy ten i ów wypowiedział swoję, pułkownik T* człowiek poważny i nielubiący płocho powtarzać bajeczek bez treści, rzekł:

— Czy uważacie państwo, że nie ma żadnéj powieści o zjawieniach nadzwyczajnych, któraby się nie łączyła z jakiémś poważném uczuciem przyjaźni, miłości, czci dziecinnéj, któraby nie zawierała w sobie kary za niedowiarstwo, za nieuczcznie woli rodzicielskiéj, za złamanie przysięgi, za zgwałcenie tych świętych przepisów, które natura tejemniczym palcem w sercach naszych wypisała. I dlategoto one znajdują tak jawną wiarę w prostaczkach, tak głęboką, choć starannie tajoną w mędrkach; bo w każdéj jest coś świętego, jest jakieś echo i wyraz sumienia.

— Masz racyją, masz racyją pułkowniku, przerwała jedna z dam, 60-letnia staruszka, ale jeszcze żywa i mowna. Jako potwierdzenie twojéj uwagi, opowiém państwu co się zdarzyło mojemu znajomemu hr. Ch*, i co mi sam lat temu kilkadziesiąt opowiadał. Byłam wówczas bardzo młodą, ale wrażenie zostało. Widzicie tedy państwo, że to czasy dawniejsze; ale niedowiarstwo, ze wszystkiémi jego konsekwencyjami nie jest rzeczą nową. W młodości hr. Ch* czytywał tylko same francuzkie książki i miał się za wielkiego filozofa. *Le bon sens*

był jego Bogiem, i naturalnie sprowadzał go z drogi ewangelii i niektórych punktów dziesięciorga przykazów. Hr. Ch.* miał matkę, starą kobiétę niezmiernie pobożną, cnotliwą, dobroczynną; słowem, wzór matron, ostatek owych dawnych i świętych kobiét, które panowanie Stanisława Augusta wypleniło z Polski, a które jeszcze gdzieniegdzie kryły się po zakątkach prowincyi. Otoż zacna ta pani, znając zasady i widząc życie swego jedynaka, niezmiernie się martwiła, i upominała go często słowem i łzami; ale gdy to nic nie pomagało, gdy syn filozof chciał jeszcze starą matkę nawracać, gdy z przekąsem, z ironiją jéj odpowiadał, i zarzucał ją argumentami, na które zadrzała w głębi duszy, opuściła go, udała się do innego majątku koło Sokala, i tam zamknąwszy się w domu, zabroniła do niego wstępu synowi. Nie żyła ona z nikim, oddawszy się całkiem dobrym uczynkom i modlitwie gorącéj, macierzyńskiéj za to dziécię, które tak zawiodło jéj nadzieję, i tak boleścią serce jéj napełniło. Trwało to lat blizko dziesięć. Po upłynieniu tego czasu hr. Ch.* czy tknięty sumieniem, o czém bardzo wątpię, czy dla tego że się miał żenić, i dla formy chciał zyskać błogosławieństwo matki, czy że się bał aby go nie wydziedziczyła, co najpodobniejsze do prawdy, przez przyjaciół i przez listy zaczął ją błagać o przebaczenie; pisał széroko o swojém nawróceniu, cytował ewangeliją, na znak że ją czyta, i wszelkich używał sposobów, któreby tknęły serce matki i wyjednały mu pozwolenie oglądania jéj oblicza. Długo nie odbiérał żadnéj odpowiedzi. Nareszcie odpisała mu, że przejeżdżając do Lwowa, dnia 5go czerwca wieczorem zajedzie do jego domu i tam przenocuje. Uradowany syn przygotował się stosownie do przyjęcia tak pożądanego gościa; powyrzucał z pokojów obrazy i kopersztychy, któreby mogły staruszkę zgorszyć, a których było pełno; w biblijotece swojéj książki podejrzane pozasuwał w głąb, a niektóre nawet na strych kazał wynieść; nad łóżkiem swojém powiesił krucyfix i położył na gotowalni ewangeliją i jeden tom śgo Augustyna; uprzedził swego proboszcza, że matka przyjedzie 5go czerwca, i prosił aby 6go rano był gotów ze mszą. Starzec ten był przyjacielem i spowiednikiem hrabiny. Ona była jego kollatorką na to probostwo, i nie raz z nim razem użalała się i płakała nad obłąkaniem syna. Radość więc jego była wielka, i w kościołku i na probostwie, którego dom leżał nad széroką drogą, prowadzącą tylko do dworu, czyniono także wielkie przygotowania. Nadszedł nareszcie 5ty czerwca, zbliżył się wieczór, i hr. Ch.* wyglądał co moment przez okna swego domu, z którego widzieć można było tę drogę. Dziwny jakiś niepokój go ogarnął, gdy minęła naznaczona godzina Wybiła wreszcie dziewiąta, daléj dziesiąta i jedénasta, a nikt nie przyjeżdżał. Utrudzony ciągłém oczekiwaniem hrabia, i zmęczony moralnie, wyglądając tak stanowczéj dla siebie minuty, kazał otworzyć bramę dziedzińca i pilnować przybycia matki; kamerdynerowi polecił aby siedział w otwartém oknie, aby nie spał, i zbudził go natychmiast. Sam zaś udał się do sypialnego pokoju, rzucił się na łóżko, jak był ubrany, i zasnął. We trzy godziny, bo właśnie była druga, zerwał się równémi nogami, usłyszawszy hurkot powozów, klaskanie z biczów, szczekanie i wycie psów na dziedzińcu. Wybiegł więc do sali. Kamerdyner oparty na oknie spał jak zabity. Zbudził go hrabia i z nim razem pobiegł pędem ze schodów, aby jeszcze w przysionku spotkać przybyłą matkę. Ale w przysionku było cicho, przed gankiem pusto i na dziedzińcu głuche milczenie. Stróże przy bramie spali, żadnéj żywéj istoty nie było widać, żaden pies nie szczeknął, żaden listek nie ruszał się na topolach dziedzińca. Zadziwiony i uderzony tém hrabia, wrócił na górę, usiadł w otwartém oknie i patrzył smutnie i zamyślony na drogę, która szła koło domu proboszcza i ciągnęła się w prostéj linii przez wieś wielką i porządną. Ranek już powstał, i daleko widno było na drodze W kwadrans dopiéro obaczył hrabia idącego ku pałacowi proboszcza. Spieszył jak mogł starzec, i białe jego włosy rozrzucał wietrzyk, który powstawał także z dniem rozbudzonym.

— Co tu robisz tak rano, księże proboszczu? zapytał go hrabia z okna.

— Moja dobrodzika przyjechała, odpowiedział ksiądz, dawnom jéj nie widział i przyszedłem powitać, niać się położy i odpocznie z drogi.

— Ale mojéj matki niéma, księże proboszczu; słyszysz jak tu pusto i głucho.

— Słyszałem przecież, odpowiedział z uśmiéchem proboszcz, jak przejeżdżała koło moich okien. Nie widziałem wprawdzie karéty, bom się właśnie wówczas zdrzymał długo czekając, ale słyszałem wyraźnie hurkot i trzaskanie z bicza, a przecież ta droga prowadzi tylko do pałacu. — Zastanowiło to niezmiernie hrabiego. Poprosił proboszcza na górę, usiedli oba w témże samém oknie i rozmawiali o tak nadzwyczajném zdarzeniu. Już blizko godziny trwała ich rozmowa, już dobrze dnieć zaczynało, gdy nagle usłyszeli tentent, i na drodze za probostwem ujrzeli kogoś wiérzchem w całym galopie rozpędzonego konia. Nie mogli jeszcze rozpoznać ktoby to był taki, bo go otaczała chmura kurzawy, ale widocznie pędził ku pałacowi, i serce hrabiego dziwną ściągnęło się trwogą. W parę minut jeździec stanął przed oknem, i postrzegłszy w niém wychylonego hrabiego, zeskoczył z konia. Byłto kozak hrabiny, dawny wierny sługa.

— Gdzie moja matka, Harasymie? krzyknął hrabia.

— Pani, odpowiedział kozak ocierając oczy siwym wąsem, ztąd o półtoréj mili przed godziną — umarła.

Proboszcz ukląkł i modlić się zaczął, a hrabia upadłszy na krzesło, zakrył twarz rękami i rzewnie i głośno zapłakał.

Umilkła narratorka i wszyscy milczeli, tylko niebo grało. Nowa, straszliwa nadciągnęła chmura i coraz silniéj błyskać zaczęło, po krótkiéj chwili uroczystego milczenia, rzekł niespodzianie p. Władysław.

— Teraz pozwólcie mi państwo, moję własną opowiedzieć wam historyją.

Na ten głos wszyscy mimowolnie zadrzeli, ale niepohamowaną ciekawością zdjęci, zsunęli się jeszcze w cieśniejsze kółko, i z natężeniem słuchali. P. Władysław podniósł twarz bladą i surową, spojrzał w okno na chmurę coraz bliższą, i coraz groźniejszą, rzucił jeszcze raz okiem na p. Salomeę, która z głuchym jękiem przytuliła się do matki, i odezwał się témi słowy:

— O siedm mil od Tarnowa...

Ale zaledwie to wyrzekł, gdy błyskawica tak silna oświéciła pokój, że wszyscy z krzykiem zakryli sobie oczy; w téjże samej prawie chwili huk gwałtowny dał się słyszéć, wszystkie szyby zadzwoniły, i połowa obecnych kobiét upadła na kolana. Jeszcze zgromadzone w pokoju osoby nie przyszły do siebie, jeszcze nawet najzuchwalsi mężczyźni nie opamiętali się zupełnie, gdy nagle blask jaskrawy, czerwony, uderzył w okna i zalał pokój. Krzyk powstał na dziedzińcu między zgromadzonymi tam ludźmi; hurkot uciekających z dziedzińca powozów obił się o uszy, a odgłos za domem i w domu: pożar! pożar! dopełnił tego obrazu zgrozy i zamieszania.

Rzucili się wszyscy do okien, i naprzeciwko nich, za klombem lip, których ciemna postać odbiła się na tle ognistém, ujrzeli dach stajen majora w płomieniu. Na ten widok mężczyźni wypadli pędem na dziedziniec, zaczęli wołać ratunku, i biédz na pomoc majorowi. Pani S* upadła na kolana i modlić się zaczęła; w całéj grupie kobiét panowało milczenie i osłupienie, a p. Salomea, na którą wychodzący p. Władysław ostatni jeszcze raz spojrzał, krzyknęła przeraźliwie i rzuciła się za nim ku drzwiom.

Napróżno wszystkie kobiéty zastąpiły jéj drogę i puścić nie chciały. Jak lwica rozsrożona, która miała stracić co jéj było najdroższém na ziemi, rozerwała ich słaby zastęp i z bladą twarzą, z obłąkanym wzrokiem wypadła na dziedziniec. Tam schwycił ją pułkownik i gwałtem koło lip przytrzymał.

Tymczasem p. Władysław wyprzedził wszystkich, porwał topór, który leżał koło stajni, i grzmiącym głosem, którego brzmienie pokryło huk płomienia, krzyk i wrzawę zgromadzonych tam ludzi, zawołał:

— Precz od stajni. Odcinajcie komunikacyją innych budowli. Tu niechaj nikt nie waży się wchodzić, za chwilę cały ten budynek runie w popiele.

Téj komendzie nikt się oprzéć nie śmiał. Wszyscy poskoczyli rozrywać dach sąsiedni, a on sam jeden, podniósłszy w górę topor, rzucił się do stajni, z któréj drzwi i okien dym i płomień buchał potokiem. Po krótkiéj chwili z poucinanémi od uzdeczek powrozami, konie ze stajni wybiegać zaczęły, i na przekor swojéj naturze, ciągnącéj ich do ognia, z rżeniem i przestrachem uciekały przez dziedziniec na ulicę. Wtenczas na ścieli budynku obnażonego już ze słomianego pokrycia, śród płonących krokiew, pokazał się p. Władysław. Jak duch jaki w czarném nietkniętém odzieniu, z rozwianémi włosami widny był i straszny. Stał tak czas niejaki nieporuszony i patrzył w to miejsce, gdzie p. Salomea do niego wyciągała ręce. Raptem ogarnął go zewsząd płomień, i niepojęty ów człowiek, zsunął się w głąb', a na głowę jego zwalił się dach potrzaskany, i legły ściany płonące. Pułkownik krzyknął przeraźliwie, a u nóg jego leżała biédna p. Salomea zimna i bez ruchu

Zaniesiono ją do pokoju, i dzielny ratunek przyprowadził nieszczęśliwą do zmysłów. W godzinę potém rozjechali się goście i wyjaśniło się niebo. Zaraz po zapadnieniu się i zniknieniu p. Władysława, dészcz gwałtowny lunął i przygasił prawie pożar.

Strata więc majora była niewielka, ale boleść ogromna; témbardziéj, że mimo największych usiłowań, ani wyratować młodzieńca, ani ciała jego odszukać nie zdołano. Na rozpacz córki, biédny ten ojciec patrzéć nie mógł. O matce cóż powiedziéć? Tylko modlitwa ją utrzymywała, tylko korne uchylenie głowy przed wyższą, niepojętą władzą krzepiło nieszczęśliwą. Po p. Władysławie żaden ślad nie został, tylko na jego stole Szekspir otwarty, i te słowa Hamleta, któreśmy w dewizie umieścili, czerwono podkréślone. P. Salomea wzięła do siebie i zachowała tę jedyną pamiątkę.

Przy końcu października tegoż samego roku, karéta sześciokonna ciągnęła się zwolna za Radomskiem po drodze złéj i piasczystéj Wieczór był już dość późny, ale pogodny i miły.

Na zakręcie drogi, gdy karéta minęła las i na czyste wyjechała pole, lokaj i furman krzyknęli razem: Jasna góra! Jasna góra! i zdjąwszy czapki, zaczęli się żegnać i modlić.

— Stój! stój! zawołano z powozu, który się w téjże chwili zatrzymał. Trzy osoby z niego wysiadły i poszły na prawo pod krzyż, który stał

samotnie o kilkanaście kroków od drogi. A wprost przed nimi we mgle wieczoru wznosiła się wysoka masa świętych murów, a na szczycie wieży zaczęło migać światełko, przyzywające robotników życia do tego portu ulgi i pociechy. Panna szła naprzód blada i schorzała, za nią ojciec z ubieloną głową prowadził słabą i znękaną matkę. Gdy przyszli pod krzyż, wszystko troje rzucili się na kolana i gorąco modlić się zaczęli. Panna pochyliła korną głowę aż do ziemi, ojciec ufném wejrzeniem wzywał pomocy, a matka z serdeczną wiarą wyciągnęła ręce do téj opiekunki wszystkich matek, która wśród chwały niebios pomna swego macierzyństwa, czuwa ciągle nad ziemią, gdzie sama bolała i traciła.

Wiadomości literackie.

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* (Własność i nakład Piotra Pillera) wyszedł nr. 20ty i zawiera: 1) Jana Zakliki projekt do układania warunków dzierżawy. 2) Zkąd u nas bierze się drożyzna i zkąd taniość? 3) Ks. Mateusza Lisieckiego, dziekana wieruszowskiego, proboszcza w Wojcinie: Sposób niezawodny uleczenia od wścieklizny. 4) Ekstrakt słodowy. 5) Wiadomości handlowe i przemysłowe. 6) Uwiadomienia potoczne.

Dziennika mód paryzkich pod redakcyją Tomasza Kulczyckiego, wyszedł nr. 14ty i zawiéra, prócz mód, następujące artykuły: 1) Salon i ulica. Obrazek z życia, przez Józefa Dzierzkowskiego. (Ciąg dalszy). Sen. Wiersz przez Olimpiją. 3) Wystawa starych obrazów we Lwowie r. 1847, przez Kornela Szlegla. (Dokończenie). 4) Wystawa obrazów malarzów lwowskich, przez Seweryna Celarskiego. (Dokończenie). 5) Wspomnienie o Józefie hr. Dzieduszyckim.

Nabożeństwo głuchoniemych. W berlińskim zakładzie głuchoniemych, mającym obecnie przeszło ośmdziesiąt pięciu uczniów, odbywa się co niedzieli i w każde święto osobne dla głuchoniemych nabożeństwo; a ponieważ oprócz obecnych uczniów wszyscy też dawniejsi zwyczajnie się zgromadzają, przetó bywa kaplica zupełnie zajęta. Nabożeństwo składa się z tych samych części, co w zwyczajnych ewangelickich kościołach, lecz od początku aż do końca odprawia się — niemo. Zamiast śpiewu odmawia kapłan w myślach czyli raczéj na migi długą modlitwę, poczém następuje kazanie, odprawione w tenże sam sposób, i co do joty zrozumiałe dla głuchoniemych, którzy mu też bezprzykładną uwagę poświęcają. Na zakończenie odbywa się powszechna modlitwa na migi. Trzej nauczyciele zakładu, pomiędzy którymi jeden głuchoniemy, pełnią to osobliwsze nabożeństwo, zaprowadzone głównie staraniem profesora Sachsa. Dla ogółu jest przystęp do téj kaplicy utrudnionym, ile że głuchoniemi nie radzi tam obcych pomiędzy sobą widzą.

Joachim Lelewel, żyjący od lat 15 w Brukseli, i tam ze szczupłego dochodu swoich literackich prac się utrzymujący, odziedziczył niedawno po swoim w Szwajcaryi zmarłym bracie 8560 fr. Z tych zatrzymał on tylko 560, resztę zaś przekazał dzieciom innego, w pobliżu Warszawy żyjącego brata; a i ową wspomnioną sumkę wziął Lelewel tylko na wydanie swojéj »Historyi jeografii starożytnej i nowożytnéj.«

Liczba żywcem grzebanych, a tylko przypadkiem do życia przywróconych osób jest daleko większą, niż się powszechnie zdaje. W saméj Francyi liczą takich osob, według urzędowych doniesień, od r. 1833 do dziś — 94. Z tych przebudziło się 36 w téj chwili, kiedy już trumnę do grobu spuszczać miano; 13 ocalało w skutek środków zaradczych, użytych przez krewnych i przyjaciół; 6 ożyło za spadnięciem wieka od trumny; 9 zawdzięcza życie przypadkowym ukłuciom igłą przy zawdziewaniu im szaty śmiertelnéj; 5 uczuciu uduszenia się, które je przejęło w trumnie, 19 przypadkowemu odwleczeniu pogrzebu, 6 umyślnemu jego wstrzymaniu. Okropna! że też w naszym oświeconym 19 wieku coś podobnego tak często zdarzać się może!

Powszechny podział. Sławny dziejopisarz amerykański Prescot wydał niedawno bardzo szacowne dzieło o podbiciu państwa Peru, i starożytnéj oświacie Inkasów, z którego się dowiadujemy, że za czasów dawnych indyjskich królów, cały ten kraj w osobliwszym znajdywał sie stanie. Był on bowiem cały podzielony na trzy części, z których jedna przeznaczoną była dla słońca, druga dla króla, trzecia dla ludu. Wydzielone słońcu krainy, służyły na utrzymanie świątyń, licznego duchowieństwa i kosztownych obrzędów religii peruańskiéj. Z dochodów ziem królewskich opędzano koszta dworu królewskiego, licznéj rodziny i służby panującego, tudzież różne potrzeby rządu. Reszta była w równe części pomiędzy lud podzielona. Każdy Peruanin musiał w pewnym wieku żenić się. Gdy to nastąpiło, wyznaczała mu gmina, do któréj należał, skromną zagrodę z gruntem, na utrzymanie jego i żony. Na każde dziecko otrzymywał nowy przyczynek ziemi, i to na chłopca dwa razy tyle, co na dziewczynę. Ten podział kraju powtarzał się co roku, przyczém posiadłość każdego mieszkańca według liczby członków rodziny zwiększano lub umniejszano. Szlachta, gdyż była także szlachta w tém państwie, otrzymywała nieco większy udział, aby stosownie do swéj godności okazaléj żyć mogła.

Topienie za pomocą elektryczności. Niedawno wynaleziono w Anglii sposób topienia kruszców, a mianowicie miedzi, za pomocą elektryczności, któryto wynalazek, według słów dziennika »*Morning Herald*« prawdopodobnie ogromne wywoła skutki. Ta sama bowiem praca, do któréj niegdyś trzech tygodni potrzebywano, może tym nowym sposobem w mniéj niż dwóch dniach być uskutecznioną. Ztąd zaś wynika tak wielkie zaoszczędzenie paliwa, iż w jedynéj fabryce angielskiéj w Swansea, roczny wydatek przeto o pół czwarta milijona talarów się umniejszył. Oczywiście więc spadnie wkrótce cena miedzi tak dalece, że będzie można używać kruszcu tego do rozmaitych wyrobów, od jakich dotychczasowa drogość go wykluczała. A łatwość i taniość nowego sposobu topienia, sprawią, że kruszec ten zaraz na miejscu w ogromnéj ilości da się stopić. Tak, ruda, która wczoraj jeszcze w ziemi spoczywała, będzie nazajutrz gotową już do transportu. W przeszłym roku wywieziono 10.000 tonn rudy miedzianéj z Australii do Anglii, aby ją tam w Swansea przetopić, a oto z 10.000 tonn rudy uzyskano tylko 1600 tonn miedzi. Na przyszłość jednak będzie Australija sama za pomocą 37-godzinnéj operacyi topiła miedź swą, przyczém zaoszczędzi się kosztów przewozu 8400 tonn niezdałéj rudy, a oraz znacznych kosztów dawnego sposobu topienia. W przeciągu lat kilku będzie tedy Australija mogła więcéj dostarczać miedzi, niż jéj wszy-

stkie inne kraje wraz produkują. Jeźli zaś nasze pieniądze miedziane na przyszłość w niejakim stosunku do umniejszonych kosztów i wartości kruszcu pozostać mają, będą one musiały tak przynajmniéj być wielkie, jak zwyczajne talérze i półmiski.

Królowa Izabela. Pod napisem »Sposób życia królowéj hiszpańskiéj« opowiadają pisma francuzkie: »Izabela II, chociaż królowa, albo raczéj ponieważ królowa, ma być prawdziwą lwicą, a to nie w zwyczajném paryzkiém znaczeniu tego wyrazu, lecz bez przenośni, istotną i rzeczywistą lwicą, małżonką króla puszcz i lasów. Gdyby królowéj Izabeli przyszło tracić koronę, tedy umiałaby ją ona z pałaszem w ręku bronić; gdyż bije się tak dzielnie na pałasze jak Grisier, i to jéj najmilszą jest zabawką. Spędza zaś czas następującym trybem: O 3 godzinie, rozumie się po południu, wstaje. Zaledwie ubrawszy się — a toaleta najmniejszém jej staraniem — każe lekkiemu i bardzo eleganckiemu ekwipażowi zajechać, otrzymanemu w darze od królowéj angielskiéj, i sama się w nim, co konie wyskoczyć mogą, powozi. O 5 godzinie siada do stołu. Zaraz po obiedzie bije się na pałasze, lub strzela z pistoletu, a potém konno wyjeżdża. Za powrotem rozpoczynają się gra, tańce, śpiéwy, aż do 1 z północy. Wtedy zasiada królowa na radę z ministrami, którym zawsze sama prezyduje. Umówiwszy się należycie, żegna ministrów, i zostaje bez świadków do 7 godziny, poczém kładzie się na spoczynek w téj saméj chwili, kiedy jéj małżonek, poszedłszy spać o 11 godzinie, właśnie z łóżka już wstaje.«

Niezawisły gentleman. Anglicy mają uprzedzenie o sobie, że są niezawiśli od nikogo; tymczasem jeden z angielskich dzienników opisuje pana niezawisłego, w ten sposób: »Francuzki kucharz przyrządza mu obiad, a Szwajcar kamerdyner ubiéra go do obiadu; żona jego stroi się w perły, które pewnie w skorupach angielskich ostryg nie rosły, a jéj strusie pióra nie na folwarku u niego wychowały się. Potrawy obiadowe pochodzą z całego świata; wina z okolic Renu i Rony. W oranżeryi swojéj bawi on oko amerykańskiémi kwiatami; ulubiony koń jego pochodzi z rasy arabskiéj, a pies— faworyt, z góry św. Bernarda. Jego galeryja obrazów błyszczy utworami szkoły flamandzkiéj; po bokach stoją greckie posągi. Dla zabawy chodzi nasz niezawisły gentleman na operę włoską, a późniéj na balet francuzki. Dostąpiwszy znakomitego urzędu, ubiéra się w gronostaje, które także w Anglii nie rosły. Nawet duch jego zaprząta się cudzoziemskiémi umiejętnościami; jego poezyja i filozofija, są z staréj Grecyi i Rzymu, jeometryja z Aleksandryi, arytmetyka z Arabii, a religija z Palestyny. Jeszcze dzieckiem w kolébce, nacierał sobie dziąsła koralowém cackiem z mórz wschodnich, a gdy umrze, postawią mu pomnik z kararyjskiego marmuru. A przecież on nieustanie powtarza: nie bądźmy zawisłymi od zagranicy!«

O romansie mówi jeden z najznakomitszych powieściarzy niemieckich w przedmowie do swego najnowszego utworu. »Prawdziwy, dobry romans nigdy zapewne nie przestanie być obrazem czasu, w którym się zjawił, ależ tylko obrazem, a nie księgą wydatków, rejestrem ekonomicznym tego czasu. Namiętności, uczucia, to co wnętrzną naturę człowieka stanowi; było i będzie zawsze tętnem i jądrem tego pięknego rodzaju sztuki. Dobry romans powinien nas rozmarzyć, rozrzewnić, do szczérego płaczu lub śmiéchu wzbudzić; żywioł muzyczny powinien w nim przeważać; powinny tam być stronnice, gdzie z każdego słowa kwiaty i płomienie tryskają, gdzie serce gorzko zapłacze a dusza w pełnéj udręczenia rozkoszy się rozpływa. Wreszcie powinien dobry romans rozpalać młodzież i kobiéty; te miękkie i wyobraźnią wiedzione dusze, nie powinny z obojętnością czytać powieści; niech owszem chcąc nie chcąc towarzyszą poecie do każdego kwietnego i ciemnego zakątka ludzkiego serca, aż w końcu, gdy znużywszy się spoczną, roztoczy poeta nagle świętą, spaniałą nad niémi noc księżycową, która ich drgające nerwy ukołysze, ukoi, i cały świat błogim spokojem otuli.« — O »Werterze« Getego mówi tenże sam autor: »Mażż »Werter« jaką tendencyję? Możnaż z niego jakiejkolwiek sztuki, jakiejkolwiek praktycznej lub filozoficznéj nauki nabyć? Bynajmniéj; nic się z niego nie nauczysz, jak tylko: ronić łzy strumieniem, miéwać gwałtownych wzruszeń co nie miara; w téj chwili marzyć o raju, w téj zaś przenikać się dreszczem niepojętéj trwogi, niewymownéj boleści — to jest nauczysz się: czuć; a jestto także nauka, którą nie wszyscy umią, lecz któréj dopiéro od prawdziwego poety uczyć się muszą.«

Sowizrzał i rektor pragski. W pewnéj staréj broszurze opowiada Sowizrzał: »Przyszło mi do głowy udawać mędrca, który dziwną umiejętność rozwiązywania tajemniczych pytań posiada. Pospieszyłem więc do Pragi, aby tamecznych profesorów do dysputy zawezwać. Przybywszy tam ogłosiłem swój zamiar szumnémi, po całém mieście poprzylepianémi kartami, tak iż wszyscy nadzwyczajnie ciekawie końca téj sprawy oczekiwali. Pewnego wyznaczonego dnia pozwał mię pedel akademicki na posiedzenie uczone. Ja, przebrany po doktorsku, poszedłem, wstąpiłem na katedrę, a rektor zagaił pytaniem: Ile jest kropli wody w morzu?— *Odpowiedź:* Powstrzymajcie rzéki, które się w morze wléwają, a obliczę wam dokładnie wszystkie krople, i jaknajściśléj pytanie wasze rozwiążę. — *Rektor:* Ile dni upłynęło od czasów Adama aż do dnia dzisiejszego?— *Ja:* Siedm, a po upłynieniu tych siedmiu, znów siedm, i tak bez końca, aż do sądnego dnia. — *Rektor:* Gdzież jest środek ziemi? — *Ja:* Tam, gdzie waszmość, panie rektorze, siedzisz. Jeżeli mi nie wierzycie, tedy sami odmierzcie, a przekonacie się, że ani o włos nie chybiłem. Ale teraz, pozwól mi waszmość, aby ja wam też nawzajem pytanie zadał. Powiedzcież mi tedy: jak można przeciąg wiatru w dwie równe części podzielić? — *Rektor:* Nato potrzeba naprzód naturę wiatru i jego siłę zbadać, potrzeba rozpoznać, z któréj strony wiatr wieje, i czy z równo — lub też różno-rodnémi cząstkami jest zmieszany; tudzież należy się przekonać, czy takowy w prostéj lub krzywéj linii, pod ostrym lub tępym dmie kątem, czy w wyższych strefach powietrzni panują lub nie panują wichry; należy dokładnie stan parokręgu rozważyć, należy *minimum* i *maximum* przeciągu wymierzyć, należy.... *Ja:* Dość tych ceregielów, mości rektorze! Najlepiéj, wyszukajcie gdzie małą okrągłą dziurkę, przez którą wiatr przeciąga; potém przytknijcie nos do téj dziurki, a obaczycie że w każdą dziurkę od nosa równa część wiatru wleci; a tak macie cały przeciąg w dwie równe części przedzielonym. — Na to zamilkło całe uczone zgromadzenie, a rektor w język ze złości się ukąsił.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.
Drukiem Piotra Pillera.